ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. | **Niedziela 29 lipca 1934 r.** | **Nr. 31**

Adolf Nowaczyński

Baer, Beer i Einstein

MORDOBICIE... POLITYCZNE.

W Ameryce, w tej hołotnej, motłoszej, zbydlęconej, powrotnie zdziczałej i czerwonoskórej Ameryce, odbyło się najwspanialsze widowisko bieżącego sezonu, to jest mordobicie dwóch najsławniejszych chamów - pionów Nowego Świata Maxa Baera, b u c z e r a z Kalifornji z włoskim drwalem Primo Carnerą. Baer poprzód pokopał i sponiewierał pyski „mistrzowi“ boksu Schmellingowi, a teraz stanął na arenie, aby zmierzyć się z największym mordobijem świata Cyklopem włoskim. Obu byków znamy doskonale z kina. „Publiczności“ zebrało się na tej zabawie 50 tysięcy, czy sto tysięcy, czy też trzysta tysięcy, wszystko jedno, mogło więcej. W jedenastej „rundzie“ Caliban z Kaliforni wymierzył małpozwierzowi włoskiemu sierp ciosowy, czy też cios sierpowy. Włoch brocząc czerwoną juchą legł pokotem, a wśród ogłuszających ryków dwunożnego bydła chicagowskiego, czy nowojorskiego Max Baer został „mistrzem“ „świata“.

Okazało się atoli, że i w tem jest p o l i t i c u m a nie samo tylko pyskopanie i pranie. Obu bykami zajęła się cała prasa także i polityczna. Do Carnery telegrafował w przeddzień meczu Benito Mussolini: „Musisz zwyciężyć!“ O Baerze zaś pisał najpoważniejszy amerykański publicysta polityczny (sic!) z koncernu pism Hearsta, to jest sam Artur Brisbane w przeddzień „meczu“ co następuje:

„Baer ma szanse zwycięstwa nad Carnera. Baer jest z pochodzenia rasowego Irlandczykiem, Szkotem i Żydem. Matka Baera mierzyła 6 stóp i kilka cali. Była silnie zbudowana. Zwycięży więc u Baera irlandzka siła fizyczna, szkocki spryt i żydowska inteligencja“.

Po zwycięstwie byka z Kalifornji, Amerykanie stuprocentowi, ciesząc się, że to swój, równocześnie nieco się zawstydzili, że to nie stuprocentowiec anglosaski, ale przemieszaniec (h y p h e n). I na drugi dzień po zwycięstwie Baera, tenże publicysta (polityczny) sam własnoręcznie pisał o tem „spotkaniu“:

„Baer, robił potworne (horrible) twarze na swego przeciwnika. W jednym momencie patrzył jak demon NIENAWIŚCI I ZŁOŚLIWOŚCI — (hatred and malice), a w następnym razie znów się śmiał, to znów przybierał wyraz dziwnej potwornej kreatury“.

Znaczy, że grał nieprawidłowo u n f a i r, że blaznował i hecował i partnera skonfudował, czyli speszył. Wobec takiego szajgecowania na arenie w poważnym serjo turnieju, opinja publiczna zwróciła się przeciw b u c z e r o w i z Kalifornji, a Brisbane (najpoważniejszy publicysta polityczny w Stanach Zjednoczonych) znów pisał o Baerze:

„Jego matka ma w swych żyłach krew irlandzko - szkocką, jego ojciec jest w połowie polskim żydem (half Polish Jew) od którego, możliwe, oddziedziczył zdolność (capacity) „otrzymywania — (wytrzymywania) bicia — (taking punishment) i zdolność myślenia w trudnych okolicznościach“.

C a p a c i t y f o r t a k i n g p u n i s h m e n t. Zdolność znoszenia razów, czyli knutów. Brisbane za jednym razem daje szpilkę ajryszowi - żydowi, równocześnie przypomina insynuując, że Polska gnębi żydów, skoro h a l f - p o l i s c h J e w ma już we krwi dziedziczną wytrzymałość na bicie.

WŚCIEKŁY RAJWACH

W każdym razie Baer zwyciężył, z czego dumną mogła być Kalifornja, Irlandja, Polska i mocarstwo anonymowe. To też dość wściekły rajwach radości wzbił się natychmiast ze szpalt całej globowej „Weltpressy“. Po łódzkim Breitbarcie, drugi to już zwycięzca, tytan, Herkules i Macistes, który jest żywem zaprzeczeniem fałszywego mytu o fizycznej i somatycznej i n f e r i o r i t a s (podrzędności) czternastomiljonowej wybranej rasy. W erze hitleryzmu triumf to niepośledni, godzien rozbrzmienia wszystkich Trąb Jerychońskich.

Toteż już odrazu w Ameryce hałasy i hosanny wszczęto tak olbrzymie, że infernialny wrzask radości i triumfu zirytował nawet Amerykanów, co też znalazło wyraz w hearstoskiego Brisbana rosnącej niechęci do nowego championa świata. W każdym jednak razie, jakich tam sposobów i forteli Max Baer używał, aby drwala włoskiego dogłupić i potłuc, to już jego sprawy. W każdym razie potłukł i jest Machabejczykiem, Barkochbą, Jozuem! Po Polakach, po Pytlasińskich i Cyganiewiczach, przyszła kolej na żydów, jako prymusów w mordotłuctwie.

GDY JOASIA PŁACZE...

Tak to atoli często bywa, że gdy Joasia płacze, Jaś się śmieje i odwrotnie, gdy Jaś się śmieje to Joasia płacze. Gdy j e d e n procent ludzkości (ale najważniejszy) miał okazję do wielkiej radości spowodu, że j e d e n z rasy pokonał w boju najpierw człek z narodu hitlerowskiego, a potem człeka z narodu faszystowskiego, a więc tych narodów, które siłę fizyczną, somatyczną, bicepsową podniosły na wyżynę ideału i celu, właśnie wtedy już przychodziła znowu pewna może nawet klęska na polach supremacji i hegemonji intelektualnych, mózgowych, cerebralnych... tego samego j e d n e g o procentu ludzkości. Nie trzeba oczywiście brać tego tragicznie tak, jak nie należy humorystycznie traktować zwycięstwa muskułów i pięści niesłychanie wzmagającego samopoczucie i megalomanję narodowo - rasową.

Notatki o „zachwianiu“ teorji Einsteina prasa paryska dała w kilka dni po triumfie „l a d i e s - m a n a“ z Kalifornji. Właściwie jedno z drugiem nic a nic niema wspólnego oczywiście. No, a jednak coś tam ma dla każdego, kto obserwuje z boku chorobliwy a nieuleczalny przerost kompleksu prestiżowego w... jednym procencie ludzkości. Na wszystkich polach i dziedzinach chcą być pierwsi i muszą być pierwsi, wobec tego z jednakowem oszołomieniem i finezją odnoszą się i do największego swego pięściarza, jak i do największego mędrca uczonego, myśliciela.

Notatkę o „zachwianiu“ podał paryski brukowiec „Matin“ pierwszy. Ułatwiło to sytuację najnamiętniejszemu z namiętnych, zapamiętałych, zajadłych uczniów, wielbicieli i apostołów Einsteina to jest naszemu kochanemu, miłemu koledze Brunonowi Winawerowi. Sympatyczny popularyzator już zdaje się tego samego dnia znalazł okazję, aby w swojem Radjo dać odprawę pomniejszycielom Newtona i Galileusza naszych czasów i zaznaczyć słuchaczom (narodowi Polaków), że już t y s i ą c razy chwiano teorjami Einsteina, a one ani drgnęły, i piramidy na piaskach stoją. Matin! Matin. Każdy wie chyba, jaką wagę przypisywać do tego co stoi w Matinie.

Tymczasem tak to łatwe i proste nie było. Matin był tylko t u b ą s o n a n s, pierwszą trąbą, która dała znać o tem, co sama gdzieindziej przeczytała. Nie w żadnym bowiem brukowcu, a w najpoważniejszym francuskim perjodyku, w „R e v u e S c i e n t i p h i q u e“, wydrukowaną była praca specjalisty i autorytetu, prof. Carvallo, a równocześnie rewelacje z tej pracy dla szerokiej inteligencji sensacyjne stwierdził znów w wywiadzie z „Paris Soir“ drugi poważny uczony, kierownik obserwatorjum astronomicznego w Paryżu, prof Esclaugon. To, co więc w pierwszym „Momencie“ wydało się naszemu domowemu Jeansowi z Radja „bujdą na resorach“, to już nawet Hajnt drugiego dnia musiał traktować jako rzecz serjo to znaczy... przemilczeć.

TABAKA W ROGU

Co w całokształcie swym reprezentują dla nas profanów teorje naukowe Einsteina, to starał się nam łopatą w łeb włożyć prof. Fryderyk Beer w swych „Sześciu wykładach dla laików“. Laik po przeczytaniu Beera jest mniejwięcej tak ciemny, jak „tabaka w rogu“ (?) i wie nadal tyle o Einsteinie, co Max Baer i Primo Carnera razem. Teorję względności popularnie tłumaczy się tak: „Jest to metoda naukowa, ułatwiająca nam zrozumienie dlaczego to, względem czego nie możemy zająć rozumnego stanowiska, wydaje nam się tem, co w innych warunkach, zasługujących na uwzględnienie nie sprzeciwia się zajętemu przez nas stanowisku bez względu na warunki, towarzyszące danemu zjawisku albo faktowi“.

Pozornie to nie bardzo mądre i niby nonsens, a jednak bardzo trafne i przystępnie ilustrujące. Wykładnia dla jeszcze ordynarniejszego i pospolitszego typu laików o teorji względności jest jeszcze prostsza: „Ktoś powiewiada: „Ja mam tylko długi“. Stwierdza więc, że coś ma. A jednak nic nie ma. Bo ma tylko długi. Oto to jest teorja względności“... Podobnie niesmacznych kawałów, dowcipów, a szczególnie witzów, szmoncesów jest bardzo wiele, tem więcej, że pierwszym odkrywcą, pierwszym popularyzatorem, pierwszym apostołem Einsteina, notorycznie był normalny humorysta i szmoncesman, redaktor berlińskich „Lustige Blaeter“. Moszkowski, ze znanej zacnej rodziny warszawskiej. On to pierwszy ogłosił u r b i e t o r b i wschodzącą gwiazdę, ale też dzięki niemu cała sprawa dla pewnych sceptyków ma koloryt conieco humorystyczny. Kolega Verneuil z Journalu kończy swój „o zachwianiu“ feljeton wesoły:

„Au fond, peut-être, Einstein n'est qu'un humoriste qui a voulu mesurer la capacité d'absorption des imbéciles“.

Ale co więcej. Entuzjasta rasowy, entuzjasta piszący recenzję, zachłystającą się rozrzewnieniem z ostatniego dzieła znakomitego uczonego, t. j. ze zbiorku feljetonów, toastów, mów pogrzebowych p. t. „Mein Weltbild“. „Mon Image du Monde (Einstein nadal pisze i posługuje się językiem niemieckim) tak kończy na wesoło swą elogę, zamieszczoną w bł. p. tygodniku „Lekturze“:

„Książka prof. Einsteina zawiera również szereg essayów na tematy naukowe. A między innymi artykuł p. t. „Czem jest teorja względności?“ napisany dla redakcji „Timesa“. Artykuł jest widocznie pisany dla laików. Postąpię w duchu wielkiego uczonego przyjaciela humoru, jeżeli stwierdzę, że po uważnem przeczytaniu rozprawki, doszedłem do przekonania, iż wcale nie jestem laikiem. Nie zrozumiałem jej bowiem“.

Wobec tego i my jako laicy i profani zrezygnujemy tutaj z interpretowania czytelnikom naukowych teoryj Einsteinowskich odsyłając ciekawskich do „fundamentalnych prac berlińskiego profesora, dr. Erwina Freundlicha (aus Galizien), do prof. Man. Geigera (Die philosophische Bedentung der Relativitatstheorie) do naszych specjalistów, dr. Jerzego Baumgartena („Teorja względności i względność wartości naukowej“ w „Opinji“), dalej do prof. L. Wertensteina.

Ten ostatni w jednej ze swoich pogadanek popularnych w „Porannym“ tak to wyłuszczył:

„Teorje Einsteina modne były kilkanaście lat temu: Głosiły jego sławę dzieła naukowe, broszury i odczyty popularne, nawet wywiady dziennikarskie. Każda wykwintna dama rozprawiała o relatywizacji czasu i przestrzeni oraz o czterech wymiarach. Z czasem rozwiał się dym uczonych słów; zostało tylko wielkie nazwisko Einsteina, coś jakby mit o człowieku, który w dziedzinie myśli dokonał jakiegoś czynu herkulesowego, zadziwiającego, nieprawdopodobnego. Ale mitologji uczyliśmy się zamłodu i obecnie nie pamiętamy czy to chodziło o głowy hydry, czy o cztery wymiary“.

W każdym razie nawet sceptycy humorystycznie nastrojeni całkiem porówno z entuzjastami i z fetyszystami (Winawer) godzą się na punkcie olbrzymich zasług berlińskiego uczonego w rozbudzeniu zainteresowania szerokiego ogółu dla zagadnienia matematyki, fizyki, astronomji, astrozofji i wiedzy o wszechświecie, zasług w otwarciu nowych horyzontów, w badaniach czasu i przestrzeni, no i najważniejsze, że od jego „wielkiego krzyku“ ludzkość, względnie jej elita na nowo o d c z u w a s w e p o c h o d z e n i e k o s m i c z n e

ODSTAWIONY ODDAWNA

Natomiast w swojej wytycznej specjalności wielki uczony pono nie tyle „zachwiany“ ile zwalony czy odstawiony niżej był już oddawna. Zdaje się, że nawet do uszu tak oszołomionego fanatyka, jak nasz Winawer musiały dojść nazwiska takich pogromców, jak prof. dr. Filip Lenard z Heidelbergu (nagroda Nobla) lub prof. Bonasse z Paryża, który pono w „Annales Physiques“ udowodnił, że 100 lat temu odkrycia Einsteina odkrył Soldner (prawa jakiejś „dewiacji“?) a Einstein tylko podał te odkrycia w sposób imponująco efektowny czy nawet efekciarski. Nadto już kilka lat temu pojawiło się w Niemczech dzieło p. t.: „Hundert gegen Einstein“, gdzie stu omal fizyków, matematyków, astronomów gremialnie i v i r i b u s u n i t i s zabrało się do pomniejszenia olbrzyma i już wtedy dało c i o s s i e r p o w y intelektualnemu Maxowi Baerowi, l u m e n d e c o'e l o Izraela.

WZGLĘDNE I WZGLĘDNE...

Laików i profanów obchodzić musi raczej Einstein jako mąż publiczny, jako „wielki człowiek“ epoki“, wielkość wogóle, jako „wielki charakter“.

I oto to jest bardzo względne (relativ).

W „Momencie“ (nr. 46 z 23.II. r. 1925) czytaliśmy czarno na białem depeszę z Moskwy:

„Tutaj — utworzono niemiecko - rosyjskie towarzystwo pod nazwą „Kultura i technika“, które ma na celu sprowadzić zbliżenie obu krajów w dziedzinie kulturalnej i gospodarczej. Prezesami honorowymi tego towarzystwa z jednej strony został obrany komisarz ludowy Rykow z drugiej strony zaś — profesor Einstein“.

Ten sam Einstein, korzystając ze swego wydętego sztuczkami i szwindlami Weltpressy autorytetu, nawoływał w Niemczech wówczas do założenia towarzystwa odmawiających służby wojskowej (Militärdienstverweigerer) za co każdy rząd w każdym kraju w dzisiejszych konjunkturach politycznych byłby go i powinien był natychmiast unieszkodliwić.

Tenżesam pacyfista znalazłszy się w Belgji jako banita, rozżarty, rozwścieklony i dyszący zemstą na ojczyznę (w której języku pisze) w liście otwartym do „La Patrie Humaine“ nawoływał Belgów, aby szybko i intensywnie zbroili się przeciw Niemcom, przeciw jego bądźcobądź „rodakom“.

Humanitarysta stale deklamujący o człowieczeństwie w publicznej ankiecie opowiedział się za stosowaniem kary śmierci.

Kosmopolita, ale syjonista zaproszony przez nienajbogatszy uniwersytet żydowski w Jerozolimie, odpowiedział wymijająco, chytrze, dwuznacznie, czekając na lepszą ofertę.

Nie dostawszy zyskowniejszej oferty nawet w zżydziałej Ameryce, a wykładając gościnnie tylko w żydowskim podrzędnym instytucie naukowym pod Nowym Jorkiem, mszcząc się na Amerykanach, puścił sobie teraz (w czerwcu) w wywiadzie takie zdanko:

„Europa przechodzi wielki kryzys gospodarczy i choruje na rozstrój ekonomiczny — WINNE są temu tylko Stany Zjednoczone“.

Niby to żydowski patrjota po świeżem odkryciu w sobie żydostwa, odmówił rok temu na świeżo z oportunizmu współudziału i współpodpisu swego pod protestem.

Równocześnie w kwietniu r. 1933 nie wywęszywszy jeszcze wiatru i nie orjentując się w nowych konfiguracjach, chcąc jeszcze przebłagać nowych władców, przypodchlebić się i ratować swoją willę i gotówkę w banku deponowaną (śliczny Archimedes!) na publicznym bankiecie w „Hotel Commodore“ w mowie n i e m i e c k i e j szczuł jeszcze i judził po staremu na Polskę, mówiąc, że: „Żydom w Europie Wschodniej zamyka się drogę do wiedzy i wykonywania zawodów naukowych“, że żydzi w Europie Wschodniej przechodzą ponure „tortury duchowe“, więc on Einstein nie wie obecnie, gdzie w rzeczywistości jest granica zachodnia Wschodniej Europy“. Tysiąc amerykańskich Schylocków, słuchających Einsteina, klaskało mu, bo jeszcze wtedy Polska nie była „oczkiem w głowie“ wybranego narodu i jeszcze dr. Magnius Hirschfeld, protektor skirmuntyzmu, rezydował w Berlinie.

HISTERYK I HISTRION

Nadto Adalbert Einstein gra jeszcze bardzo ładnie na skrzypcach i lubi się dwa razy na dzień fotografować, a raz dawać wywiad. W wywiadach z pobytu w Belgji w Le Cogu zdemaskował się co nieco, jako monstrualny tchórz, drżący przed „siepaczami“, choć otoczony detektywami.

W zestawieniu z takim Michelsonem (amerykański fizyk, pochodzi ze Strzelna w Wielkopolsce) w zestawieniu z bolszewickim matematykiem Friedmanem, nie mówiąc już o H e n r y k u H e r t z u, to to jest karzeł, histeryk i histrion. Nieco „myszugge“, a nieco szarlatan, nieapetyczny i w bardzo złym guście...

Nawet pyskotłuk Max Baer jest żydem w lepszym sympatyczniejszym guście, sądząc z zaczętych w paryskim „Le Jour“ Ma Vie et mes Combats.

Einstein z całą jego bezsprzeczną genjalnością należy do s p e c i e s i n s u m m o g r a d u.

Z tej racji nie należy „smucić się“ Europejczykom, Arjom i Goyom ze zwycięstwa Maxa Baera, a należy raczej cieszyć się z „zachwiania“ A. Einsteina, którego zresztą nasz Bruno Giordano Winawer zapewne znów niebawem postawi na nogi.

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACYJ KSIĘGARSKICH

BAUM VICKI: Podróż. Powieść. Przekład E. Solskiej. 8º. str 215. Warszawa, 1934. S. Cukrowski. Zł. 6.

BRERETON F. S.: Harcerze w Bagdadzie. Powieść dla młodzieży z ilustr. Przekład z ang. S. Heymanowej. 8º. Str 372. Warszawa, 1934. J. Przeworski. Kart. Zł. 4.

BUNIN J.: Wieś. Przełożyła Z. Petersowa. 8º. Str. 322. Warszawa, 1934. J. Przeworski. Zł. 7.

DAŃCEWICZOWA J.: Ćwiczenia i wiadomości gramatyczne dla V kl. szkoły powszech. 8º. Str. 29. Lwów, 1934. Ossolineum. Zł. 0.45.

DAŃCEWICZOWA J.: Ćwiczenia i wiadomości gramatyczne dla VI kl. szkoły powszech. 8º. Str. 32. Lwów, 1934. Ossolineum. Zł. 0.45.

DAŃCEWICZOWA J.: Ćwiczenia i wiadomości gramatyczne dla kl. V i VI szkoły powszech. Książka dla nauczyciela. 8º. Str. 47. Lwów, 1934. Ossolineum. Zł. 0.65.

DĄBKOWSKI P.: Oswald Balzer— Życie i dzieła 1858 — 1933. 8º. Str. 236. Lwów, 1934. Gubrynowicz i Syn. Zł. 7.

Kodeks handlowy. Rozporządzenia wykonawcze. 8º. X, 288, 66. Kraków, 1934. Księg. Powszechna. Opr. Zł. 3.20.

KRAGEN W.: Dymy nad Azją. 8º. Str. 243. Warszawa, 1934. „Rój“. Zł. 3.

KRZYŻANOWSKI JULJAN dr.: Romans polski wieku XVI. Z 67 ilustracjami w tekście i 27 na osobnych tablicach. 8º. Str. 283. Lublin, 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 15.

KWAST W. i BARAN J. kpt.: Piłka siatkowa. Podręcznik dla gracza. Przepisy, technika i taktyka. Zaprawa. 8º. Str. 132. Warszawa, 1934. Główna Księg. Wojskowa. Zł. 2.20.

LASKOWSKI K.: Samoobrona w 17 chwytach, z 50 rys. 8º. Str. 22. Warszawa, 1934. Gł. Księg. Wojskowa. Zł. 1.80.

LIPPERT S. ks.: Łaski Boże. Przeł. J. Kopecka. 8º. Str. 149. Kraków, 1934. Wyd. ks. Jezuitów. Zł. 1.40.

MOSZCZEŃSKA W. i MROZOWSKA H.: Podręcznik do nauki historji na drugą klasę gim. z 144 ilustr. i 8 mapkami. 8º. Str. 284. Lwów, 1934. Ossolineum. Zł. 2.60.

NEUMAN J. A.: Almanach techniki i przemysłu fotograficznego 1934 z 102 rys. 8º. Str. 178. Warszawa, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 2.

PIWOWAR LECH: Śmierć młodzieńca w śródmieściu. 8º. Str. 32. Dąbrowa Górnicza, 1934. Gebethner i Wolff skł. gł. Zł. 1.50.

PODOWSKI JERZY: Strzelanie. Podręcznik dla początkujących i zawodników z 51 ilustr. 8º Str. 122. Warszawa, 1934. Gł. Księg. Wojskowa. Zł. 2.50.

PODYMOWSKI ST.: Teorja logarytmów oraz jej zastosowanie praktyczne w opracowaniu dla klas wyższych szkoły średniej z 6rys. 8º. Str. 46. Warszawa, 1934. Książnica - Atlas. Zł. 1.40.

Praca wśród kobiet wiejskich. Materjały pomocnicze dla działalności zarządów i inspektorek kół gospodyń wiejskich, cz. I. Zagadnienia organizacji pracy. 8º. Str. 66, Warszawa, 1934. Księgarnia Rolnicza. Zł. 2.

ROSENBLUETH J. i Wyderko M.: Księga wzorów egzekucyjnych dla sądów i komorników, według kodeksu postępowania cywilnego. 8º. XVIII, 642. Kraków, 1934. Księg. Powszechna. Opr. Zł. 20.

ROSZKOWSKA J.: Jak zakładać katolickie Stowarzyszenia Polek. 8º. Str. 47. Wilno 1934. Księg. św. Wojciecha. Zł. 0.75.

RUBINSTEIN L.: Szlak Samurajów. Przełożyła H. Pilichowska. 8º. Str. 261. Warszawa, 1934. „Rój“. Zł. 3.

SCHOENBRENNER JANINA: Dzisiaj i dawniej na ziemiach polskich. Historja Polski dla VI kl. szkoły powsz. 8º. Str. 223. Warszawa, 1934. Bibljoteka Polska. Zł. 1.50.

SEIFERT T.: Technika międzynarodowego przewozu towarów. Przewóz morski, kolejowy, lotniczy pocztowy. 8º. Str. 171. Lwów, 1934. Zakł. Nar. im. Ossolińskich. Zł. 10.

SIECZKA T. ks: Kult obrazu Najśw. Marji Panny Ostrobramskiej w dzisiejszym rozwoju. Dysertacja doktorska z 9 tabl. 8º VIII, 95 Wilno, 1934. Skł. Księg. św. Wojciecha. Zł. 5.

SIERZPUTOWSKI T. i KLEBANOWSKI: Rachunki dla kl. II szkoły pow. 8º. Str. 104. Lwów, 1934. Książnica - Atlas. Zł. 0.90

SKAŁKOWSKI A. M.: Hr. Skórzewska, a dwór Fryderyka II z 3 ilustr. 8º. Str. 27. Poznań, 1934. J. Jachowski. Zł. 3.

STACH PIOTR ks.: Kwestja biblijna w świetle encykliki „Provincetissimus Deus“. 8º Str. 7. Lwów, 1934. Bibl. Religijna. Zł. 1.

STEFFEN A.: Zbiór polskich pieśni ludowych z Warmji, t. II. 8º. XXVIII, 134. Leszno, 1934. Księg. św. Wojciecha. Zł. 3.20.

SZOBER ST.: Gramatyka polska w szkole powszechnej, kl. II. 8º. Str. 62. Warszawa, 1934. M. Arct. Zł. 0.55.

Wojciech Wasiutyński

Z duchem czasu

Michał Anioł i łowickie portki

W ciągu niecałych stu lat z kontuszowych szlachciców zmienili się w surdutowych inteligentów. W ciągu tego samego okresu chłopi jak byli w sukmanach, tak i pozostali. Stąd też u starej generacji inteligenckiej zrodziło się mniemanie o odrębności kulturalnej ludu, o niezmienności tej chłopskiej kultury i jej odrębnych własnych źródłach. To mniemanie przeszło do średniego pokolenia inteligencji, nawet tej, która wyszła wprost z chłopów, a z niej na wieś. Uwierzono powszechnie w jakieś praźródła, w jakąś słowiańskość odwieczną, w przedchrześcijańskie tradycje, w najściślejszą narodową odrębność, tam, gdzie wśród ludu.

Bujda to jedna z większych. Owszem, prawda, że w kulturze chłopskiej jest bardzo wiele sił odżywczych, że stamtąd trzeba czerpać i na znanych chłopskich tradycjach budować kulturę współczesną polską. Ale nie dlatego, że to są złoża jakiejś mitycznej odrębności, tylko dlatego że tam się lepiej przechowała kultura narodowa, cywilizacja dawnej Polski, nie zapaskudzona nalotami dziewiętnastego wieku, cywilizacja bardzo narodowa, ale i bardzo zachodnioeuropejska, bardzo chrześcijańska i taka jak — za Kochanowskiego.

Nie mówię już o tem, że pojęcie duszy, tak jak je chłop rozumie, jest to pojęcie czysto kartezjańskie, przez pijarów stojących na gruncie nauk pana Descartes, przed paru wiekami na wieś zaniesione. Nie mówię o tem, że chłopskie gorsety to strój paryskich elegantek z siedemnastego wieku. Ale pomówimy o łowickich pasiakach w ogólności, a pasiastych portkach w szczególności.

Te pasiaki, to przecież dowód rzekomej chłopskiej odrębnej kultury, ten gust, to jędrne swoiste poczucie stylu i barwy etc... A tymczasem łowickie portki nie są wynikiem żadnych pokładów dawnych i tajemniczych, uśpionych właściwości słowiańskich dusz, lecz kompozycją znanego skądinąd artysty i dekoratora Michaelo Angelo da Buonarotti. Ów Michał-Anioł skomponował bardzo piękne mundury dla gwardji papieskiej, mundury w barwne pasy, pięknie zestawione. Te mundury gwardji watykańskiej wprawiły w zachwyt i słusznie prymasów polskich. A że Łowicz z szeroką okolicą był własnością arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, przeto propagować zaczęli pasiaste portki na wzór pantalonów gwardji Jego Świętobliwości. Potem już i baby nosić zaczęły pasiaste zapaski. Michał Anioł znalazł uznanie wśród chłopów mazowieckich.

Ta historja nie poniża, lecz przeciwnie podwyższa znakomicie w moich oczach kulturę ludową. Takich spraw, jak te łowickie portki możnaby w niej znaleźć znacznie więcej. A wnioski płyną ciekawe, bo to jest jakby maleńki snop światła rzucony na naród w momencie tworzenia się, a naród tworzy się ciągle.

Więc wniosek pierwszy: nie należy ulegać sugestjom automatyzmu dziejowego i ostrożnie brać wszystko, co płynie rzekomo z prainstynktów i z kolektywnej duszy. Człowiek żywy ma o wiele więcej do powiedzenia w świecie, niż to sobie wyobrażamy.

Wniosek drugi: absolutna odrębność narodów jest możliwa tylko na wschodzie, tam, gdzie każdy naród stanowi zarazem cywilizację, a raczej właściwie, gdzie niema narodów, a są tylko cywilizacje. Europa, a raczej chrześcijaństwo nie Europa, stanowi mimo wszystko pewną całość. Najbardziej stanowiło ją w średniowieczu, a najmniej w okresie „międzynarodowości", „kosmopolityzmu" i esperanta, bo ta epoka chciała się opierać nie na tem co było wspólne narodom chrześcijańskim, lecz na tem, co im było obce.

Wniosek trzeci: kiedy się mówi o narodzie polskim, nie zastanawia się nad tem, jak olbrzymią częścią narodowości naszej jest tradycja Rzymu średniowiecznego, jak olbrzymi przy formowaniu naszego narodu jest wkład kościoła katolickiego.

Wniosek czwarty: Niezmiernie śmieszne są wszelkie pomysły budowania jakiejś kultury niechrześcijańskiej w oparciu właśnie o cywilizację wsi. Przecież o żadnej religji, czy cywilizacji słowian pogańskich w Polsce my naprawdę nic nie wiemy. Prof. Brückner wykazał, że te wszystkie Światowidy i Marzanny to był czysty wymysł, że wogóle cała religja polskich słowian ograniczała się do pewnych mętnych pojęć i kultu przodków, że nie było nawet kapłanów. Polska Walhalla nie istnieje. Natomiast piętno chrześcijaństwa wygląda z każdego drobiazgu chłopskiej kultury, nie wyłączając nawet pasiastych portek.

Wniosek piąty i ostatni: nacjonalizm polski jest i musi być chrześcijański, bo inaczej nie może. Chrześcijaństwo jest zbyt wielką częścią naszej narodowości, a naród nasz zbyt wielką częścią chrześcijaństwa. Jeżeli ktoś udaje nacjonalistę polskiego, a uważa jednocześnie za główny swój cel walkę z kościołem, czyli „czarną międzynarodówką", to to jest śmieszna szopa. Międzynarodówka kapitalistyczno-masońska jest czemś poza narodem polskim i do tego narodu nic nie wniosła. Międzynarodówka żydowska jest poza narodem polskim i nic do tego narodu nie wniosła. Natomiast „czarna międzynarodówka" jest częścią narodu polskiego, ogromną częścią jego kultury.

•

W narodzie na przestrzeni wieków odbywa się krążenie kulturalne. Przykładem tego bywa najczęściej — piosenka. Powstaje gdzieś w gronie poetów, u szczytów kulturalnych, potem idzie wdół, z czasem staje się czemś specyficznie chłopskiem, folklorem, a potem znów jako motyw ludowy wraca do literatury, by może znów...

Znacie naprzykład tę piosenkę smętną i ludową ze słowami powstałemi w jakiejś Szczypiornie:

„W szyszaki pruskie uzbrojeni
Zjawili się, jak sen —
I odtąd złoty snop promieni
Wolności umknął hen!
Zamknięci w wierdzy pruskiej
Nie wiemy, co to świat..."

Aleksander Sendlikowski

Krzyże i sława z papieru

Napewno życie dzisiejsze ma coraz mniej z sielanki, a coraz więcej z twardej, bezlitosnej walki. Walka ma zaś to do siebie, że powoduje zniszczenie, że burzy, zmiata wiele rzeczy z powierzchni i usuwa to, na co przyzwyczaliśmy się patrzeć, jako na zjawiska codzienne. W zmaganiu, w starciu eksploduje nagromadzona energja, siła zebranych wysiłków — ale w walce i z niej wyrastają nowe siły. Walka i trudy — to żywioł silnych.

Żyjemy dziś olbrzymią masą impulsów. Kierują nami nowe, wyzwalające się moce. Żyjemy pośród burzy, zawiei, mroku. We mgle czekamy sygnałów, które się zapalą — czekamy dnia, który nadejdzie po walce.

Jesteśmy dziś wszyscy ludźmi, którzy sens życia widzą w ujarzmianiu sił, w zdobywaniu władztwa nad niemi. Pragniemy heroizmu, tęsknimy za bohaterstwem. Obca nam jest małość, bezsilność, brak wiary, pustka. Nasze linje myśli i nasze cele działań są zakreślone jasno. Nie znosimy egzaltacji, płaczliwej tkliwości, nieśmiałego pojękiwania na niedolę. Jesteśmy wyznawcami poglądu, że człowiek trzyma świat w ręku i według swoje woli go przekuwa, jeżeli ta wola jest dość silna. Dlatego, właśnie może dlatego, tak nam trudno zrozumieć ludzi, którzy nie posiadają wiary bezwzględnej i woli bezwzględnej — ludzi, którzy są cieniami. Ludzi, którzy fałszywym altruizmem chcą się taniutko wkupić w poezję i włożyć cierniową koronę na upudrowane, pachnące perfumami czoło.

Jest taki sympatyczny pan, który w niesympatyczny sposób pisze sobie prościuteńko: „Więzienie to przyjemna rzecz...".

Pisze to ten pan wtedy, kiedy ludzie jakby sami zrozumieli, że więzienie jest takie bardzo przyjemne i starają się używać tej „rozkoszy" dosyta.

„Krzyże z papieru", nowa książka Ewy Szelburg-Zarembiny *). Nowele, stojące na granicy między reportażem, a pretensjonalnym feljetonem. Łapczywe pragnienie znalezienia własnej formy, gdy trudno o własną treść.

Wszystko to już było. Niema w tem, co daje nam książka Zarembiny, niczego nowego, żadnego odblasku, żadnej próby własnego spojrzenia. Wytarte liczmany. Ten patetyczny ton, to zawodzenie i humanitarne rozrzewnianie się nad wszystkiem.

„Krzyże z papieru". Nędza ludzka, ślady tych niezliczonych cierpień, które człowiek musi przełamać, przez które musi przejść. Przecież nie można się nad wszystkiem rozkliwiać, żalić, zawodzić. Przecież życie nie może być drogą różaną. I właśnie piękno jest w walce, i charakter w zdolności, w mężnem przezwyciężaniu przeszkód.

Można patrzeć na zło. Można je opisać nawet z łezką. Ale przecież trzeba w całym tym procesie, który się rozgrywa dokoła, odnaleźć miejsce dla siebie, wypośrodkować je — inaczej tylko „pisze się książki". I książka Zarembiny jest właśnie taka.

Trudno chyba odnaleźć człowieka na świecie, któryby nie współczuł ogromowi niedoli ludzi skrzywdzonych, wyrzuconych poza nawias tak zwanego normalnego życia. Trudno nie myśleć z oburzeniem o ratowaniu chorego mordercy, skazanego na śmierć — o ratowaniu tylko dlatego, by go potem stracić, albo o tępych chłopach, skazanych za niezrozumiałe dla nich przestępstwa na dożywotnie więzienia, albo o człowieku zabitym przez omyłkę agenta. Ale te rzeczy nie wyrastają do miary zasad. Życia nie można w żądnym ustroju i w jakikolwiek sposób uregulować tak, aby raz nazawsze wszelkie możliwe konflikty, wszystkie niesprawiedliwości i krzywdy były nagle zniweczone, usunięte. Dlatego trzeba wyczuwać pewne odchylenia od pionu, pewne wahania, skrzywienia prawidłowej linji, ale nie można z tego tworzyć zasad i wwiązywać w nie treści im obcej.

Wygodna jest droga ubolewania. Ale cóż znaczy i jakże blado wygląda jaskrawa litość, gdy potrzeba cichego, surowego miłosierdzia!

Altruizm, którym szkice w „Krzyżach z papieru" są namoknięte, jak wodą, co ma im dawać ciężar — jest bardzo pompatyczny i bardzo banalnego gatunku.

Dlaczego?

Bo jest to typowe dla ludzi, którzy nawykli czuć i myśleć pozorami, ludzi, którym pozory wystarczają. Te wszystkie spacery po więzieniach, spacery wdzięczne i dystyngowane, i oglądanie świata oczyma dziecka, to znowu, jak w szkicu „Pani kupi irysy?" własnemi oczyma ze szkła — to wszystko trąci egoistycznym snobizmem.

Za dużo we wszystkiem jest wahań, za wielka miara lęku.

Pisze o sobie autorka: „I z ulgą myślę, że są tacy, którzy sądzą, i ściśle określonemi dawkami wymierzają sprawiedliwość, podczas gdy ja — umywam ręce" (str. 175).

Umywam ręce! Miała to być subtelna ironja, a jak to wyszło inaczej! Przecież w każdym z tych szkiców, z tych skrótów reportażowych brak jest czegoś — brak ostatniego słowa.

Nie ratuje sytuacji najładniejszy ze szkiców „Krzyże z papieru", ani sporo ładnych momentów, drobnych przebłysków. Ani język prosty, miły, bezpretensjonalny, co wdzięcznie kontrastuje z treścią całości. Książka jest bez barwy, bez temperamentu, bez uczuciowości. Poprostu wyrozumowana na chłodno miłość bliźniego.

Zarembina pisze, że literatura, wielka literatura z okresu niewoli Narodu, gdy powstało Państwo Polskie, „przeraziła się i w popłochu zaczęła tymczasem szukać nowego nawiązania z tem, mimo niej wyrosłem, nowem życiem". A potem: „A że do głosu w życiu przyszedł teraz człowiek „zwykły", literatura, łudząc się, że człowiek ten nie pragnie niczego więcej ponad przeciętność, zaczęła nagwałt cenić jego zwykłe, właśnie „zwykłe" życie. Aż dla niej samej stało się to wygodne, gdyż, jak ów czarodziej z bajki, gdy straciła swoją czarodziejską laseczkę romantycznego patosu — okazało się, że ma puste ręce" (str. 129).

Z jednem również zdaniem Zarembiny godzimy się bez wahania:

„...część pisarzy z bezideowości swej stworzyła właśnie ideę i lepi książki z zawsze bliskich każdemu człowiekowi okruchów życia" (str. 129).

Słusznie, bardzo słusznie!

Szata graficzna książki i korekta niechlujne.

*) Ewa Szelburg-Zarembina. Krzyże z papieru. Warszawa —. 1934. Tow. Wydawnicze „Rój", str. 227.

L. Całkosińska

Serenada majowa

Ilekroć zdarzy mi się rozmawiać z doświadczonymi ludźmi, ogarnia mnie głęboka depresja... Mówią mi oni, że świat kultury i piękna upada, i to dzięki nam, kobietom... Że z panią De Noailles odeszła ostatnia poetka i ostatnia kobieta, wsłuchana w srebrzyste głosy muz. A razem z nią umarł nietylko pogański panteizm, lecz i sama poezja.

Bo nowoczesna kobieta porzuciła symboliczną wieżę, u której stóp rycerz-trubadur opiewał przez tyle wieków swe bohaterskie czyny i zapragnęła samodzielnie zakosztować przedziwnej przygody. Wybiera się dziś w serce Sahary, lub na przelot nad oceanem, tak jak babki jej wyjeżdżały do „badów", uzbraja się w naukowe dyplomy, rozwiązuje niby krzyżykówkę formułki chemiczne, rozprawia o hemoglobinie i hemisferze, a poezja na tem cierpi. I mówią jeszcze, że wszystkiemu temu winien jest nasz wojujący feminizm, nasza nieposkromiona żądza doświadczeń i czynu...

Minęły bezpowrotnie szalone, piękne czasy romantyzmu i królowania p. Hańskiej... A tak przekonywująco, tak żarliwie prawią mi o tem, iż mimowoli budzi się poczucie winy. Kto wie, może rzeczywiście lepiej nam było pozostać w domowem zaciszu, spoczywając w zamknięciu niczem kosztowny instrument, odbierający odległe głosy życia? Może wina tego, że błędni rycerze zamilkli i przekuli miecze na narzędzie pracy, ciąży na nas? Komużto śpiewać w zawrotnem tempie współczesnego życia? Nie wiem! Chciałoby się o tem podyskutować, przeciwstawić kontrargumenty. Udowodnić, że wiek XX to nietylo wiek mechanizacji, ile szalonej, „wielkiej awantury". Że z podniebnych lotów Exupery'ego, z błądzenia wśród gwiazd i księżycowych bezbrzeżnych równin powstają właśnie epokowe obeliski kultury. Że z oskarżenia starszego pokolenia przemawia pesymizm niezrozumienia... bo nie wierzę, bym musiała zrezygnować z mej manji poławiania pereł w odmętach twórczości i poto, by je znaleźć, musiała szukać ich we wczorajszym dniu, bo jutro już nic nie przyniesie... bo poezja umarła!

Ale złocista, niby skąpana w ciężkiej kropli miodu, lipcowa chwila nasycona brzękiem owadów, słonecznością i barwami, uśmiecha się i w cykocie świerszczów wydzwania jakieś nieodparte, odwieczne prawdy o nieśmiertelności piękna. Czem — pyta pobłażliwie — byłby człowiek minus przyroda? Zabierzcie mu wzrok, a jeszcze słuchem chwytać będzie moje głosy, — pozbawcie go i słuchu, a pozostanie mu pieszczota słońca, muśnięcie wiatru na twarzy, posmak burzy na wargach. Jak długo człowieka, tak długo poezji. „Tak, tak, — przytakują starzy — piękny jest ten świat Boży i za to składamy Stwórcy dzięki, lecz czy „oni" to pojmują?".

A właśnie że tak! Bo oto niedawno temu Francja dokonała aktu wiary w poezję — doniosłość jej i celowość. „Le prix Populiste" przyznano Marie Gevers, a uczynili to ludzie, którym piękno prozy poetyckiej nie jest obce. Marie Gevers uzyskała nagrody Belgji i Francji za wielkie umiłowanie piękna, przyrody i prawdy, za nieprzeciętny talent, za umiejętność czytania w księgach ziemi, jej wód i pól, i za te krople ciężkiej, bezcennej krwi, która nie dopuszcza do tego, by poezja jej była tworem nadnaturalnej fantazji, lecz w sprawy codziennego, ludzkiego żywota, w sprawy ziemi i zespolonego z nią człowieka — umie tchnąć iskrę boskości. Marie Gevers pokłonił się świat cywilizowany, a sądzę, że gdyby przyroda miała głos, — Boży Rok i wszystkie żywioły przybyłyby do niej z hołdem.

Kiedy mówię, czy myślę o niej, nasuwa się nieodparcie jedno określenie: „Flamandka". Nic więc dziwnego, że w odpowiedzi pada pytanie: jak służy sprawie i jak ją propaguje. I tu przychodzi chwila zmieszania, bo właściwie niesposób wytłumaczyć, dlaczego fakt ten i świadomość promieniuje z każdej stronicy. Nawet niewiele o tem mówi; poprostu jest nią. Ta cecha jest tak istotna, tak niezaprzeczona i bijąca w oczy, iż budzi w nas poczucie odrębności narodowej. Możnaby tu mówić o swoistym kolorycie, tak jak po kolorycie poznajemy flamandzkich mistrzów. Jakgdyby ktoś domieszał trochę krwi zdrowej, czerwonej i mocnej — takiej, jakiej podrobić niesposób...

„Madame Orpha ou sérénade de mai", to z pozoru najzwyklejsza historja miłości. Bo cóż w tem szczególnego, że w czasie serenady żona poborcy Orpha i ogrodnik Louis ulegli „czarowi", każącemu im ślepo dążyć poprzez cudze szczęście ku sobie? Sama autorka tłumaczy się z wyboru tematu — „Spośród kwiatów rozkwitłych na łące mych wspomnień, zerwałam ten jeden. Czy nie jest piękny? Cierpliwości, — mogę tyle innych jeszcze zerwać"... Ale nie spotkałam jeszcze tak pewnej, tak śmiałej koncepcji artystycznej. Bo autorka z niezrównanem wyczuciem piękna potrafiła usunąć ze swej opowieści to wszystko, co mógł dyktować wiek i doświadczenie.

Historję Orphy opowiada naprawdę mała dziewczynka, której mózg i wyobraźnia pracują, ale zmysły śpią. I dlatego jest tak wzruszająca, tak przejrzysta i prosta. Z paru gestów, paru słów i ludzkich rozmów powstaje legenda o kochaniu. Niedarmo „Telemak" pierwszy wraz z Mentorem uczyli ją słów miłości. Ta para wieśniaków, zabłąkana do dziecinnego Edenu, urosła w półbogów i nawet odszedłszy zeń, jest obecna. Czem byłby krajobraz bez Orphy? — woła zalękniona dziewczynka. Nieobecni nawet są w nim, jak powtarzający się refren pieśni, jak pieśń, przesuwają się w wyobraźni dziecka — wchodzą w rachubę w uwadze czytelnika. Niby senne zjawy — czyto w słoneczne lato, czy zimowe dni ukazują się na horyzoncie. Są dopełnieniem obrazu, ostatniem dotknięciem pendzla.

Chwilami zdają się uciekać niezmiennym prawom przyrody, by powrócić i wcielać się tysiąckrotnie w obłoki, wichry i ptaki, zgodnie z wolą dziewczęcej fantazji. „Gdyby gwiazdy były pochodniami, a obłoki drzewami w pąkowiu, gdyby mężczyźni, jak Louis, i kobiety, jak Orpha, spotykali się w ich cieniu, zdala od tańczącego wichru... gdyby serce Orphy było równie ciemne i ciężkie, jak wilgotna ziemia, którą wyczuwa ma dłoń... gdyby...

„Kiedy płótna są rozciągnięte równo na trawnikach, kiedy wiosna uciska nadmiernie moje dziecinne serce, zwijam wokoło oczu dłonie w trąbkę, tak, by ukryć wszystko, co nie jest tą olśniewającą bielizną i powtarzam: to śnieg — to jest śnieg, to śnieg... Ale woń wilgotnych traw dopływa do ust. „To" nie jest śniegiem.

Biegnę do sosnowego lasku i tam na beztrawej ziemi, podobnej sobie latem i zimą, pod gałęziami poplątanej zieleni słucham szumu wichrów i powtarzam: To jest zima, to zima, zima... Lecz kos zaczyna nucić tak pełnym, tak doskonałym głosem! To wiosna! — i nic nie zdoła uchronić mnie przed jej tajemniczym czarem".

Wiem teraz, że rzeczy łamiące wolę, to „czar". Czar łączy bezpowrotnie Louis'a z Orphą.

Może sobie ona powtarzać bez końca: Zapomniałam, minęło, to skończone, skończone...

Wiosna ją zwycięży.

I w istocie zwycięża; kochankowie zbiegają do Francji. Nim wieś się uspokoi, dziewczynka prowadzi nas poprzez miesiące i pory roku. Nieomylnie, pewnie poddana rytmowi współpracy przyrody, ludzi i zwierząt ukazuje nam radość i błogosławieństwo pierwszych roztopów, wiosennych ulew i zimowych czuwań. Gdy się tak łowi wspomnienia, wchłania głosy-zapachy i przejawy życia rok mija szybko. Przychodzi jakiś nowy maj, a po nim inny. Jak księżyc, odbity w powierzchni wody, trącony psotną ręką, rozpryskuje się w kawałki, by po chwili powrócić i zbiec się w całość, tak oczarowana, zaniepokojona szaleństwem miłości wieś ucisza się. Z jej uspokojeniem powracają Orpha i Louis, lecz równocześnie znikają z horyzontu. Bo właśnie dziewczynka dorasta, senne marzenia o cudzej miłości przybierają nowy kształt, — Telemak z Mentorem przybyli na Cypr w miesiącu, poświęconym Wenerze. Jest maj, a z nim wyrywa się z ust dziewczyny okrzyk trwogi. Bo wie, że płomień miłości, wysuwający się z rąk Orphy, podejmie w majową noc inna, a po tej jeszcze inna — aż wreszcie przyjdzie kolej na nią. I teraz już wiemy, że dla legendy niema już miejsca.

Opowieść majowa kończy się. I tak być powinno, bo od tej chwili poezja ustąpiłaby zwykłej historji miłości i zatarła wspomnienie tej Orphy, która w burzliwy ranek — z głową odchyloną wtył, z błękitem w oczach, w szumie sukien biegnie nieprzytomnie, nie pomna na nic, by paść u stóp Louis'a, ogarnąć go ramionami i pozostać już tak nazawsze.

Marja L. Krüger

Naokoło drewnianej podłogi

We czwartek z Marymontu na Pragie, na Żerańskie Gieńka latała. Do Piklickich. Z Hielką sie namówiły. Że Hielka na Marymont w niedziele przyjedzie. Na sale tańca pójdą. Do bielańskiego lasku. Na piąte godzine.

W piątek Gieńka przez Marymonckie idzie — a tu spotyka tego brunecika. Co z Lodką chodzi. Popatrzył tylko i nic.

W sobote Gieńka u fryzjera była. Na Gdańskiej. W loki ją czesał.

W te same sobote Hielka na Żelazne szła. Do chrzestnej — pani Motylowej. A na Chłodnej akurat fryzjer jest. Darmo czesze, bo praktykantów ma. Czesali Hielkie chiba z godzin dwie. Z przedziałkiem a na bok trzy fale.

A w niedziele, na piąte się uszykowały.

W lasku bielańskiem sal do tańca dwie. A przy obu narodu moc. Na tej jednej, tej większej— muzyka zwyczajna. Skrzypce i harmonja. Chodźcie, chodźcie na te drugie sale. Gdzie chorągiewki z bibułki kolorowej na sznurku pod dachem. Tam ci jest orkiestra. Harmonja, skrzypce, dzwonki jakieś srebrne i bęben. Wielki bęben. A na niem pisane: „Kazio — Jazz"

Przy tej barjerze, co jest naokoło drewnianej podłogi, ludzi natłoczyło się — że jej! Jedne, to żeby popatrzeć tylko. Inne — co na tańce przyszli. Panny i chłopaki.

Gieńka w niebieskiej żorżetowej. Przed Wielkanocą te żorżete nabierała. Hielka — w wełnianej. Wiśniowej. Upudrowały sie, umalowały sie.

Jest panien, jest. Niebrakuje.

Karola od sklepikarzów — w długiej czarnej. Marokienowej. Branzolete ma na ręku. Sewera, ta chemiczarka — w różowem w kwiatki.

I Staśka, i Lucyna, i Izabella co jej ojciec ma piekarnie na Czosnoskiej. I Lodka też. W białej sukience z czerwonem paskiem. Jakieściś znów dwie — to w spódnicach granatowych i bluzkach białych. Gieorginje sobie czerwone na piersiach przypieły. Patrzajcie na te z Tylżyckiej. Sabina z Tylżyckiej — na czerwono przyszła. Brwi malowane.

Oo, jak to się smarkate pchają...

A pchają się. Abo co? — Ircia od tych co na Łomiańskiej sklepik trzymają. Janinka i Jadźka. Cóż to nie wolno popatrzeć?

Zaraz, zaraz zagrają tango. Już mówili ci z orkiestry i ten, co przy wejściu na sale stoi.

— Dwadzieścia groszy za jeden taniec.

Chłopaki idą do kasy bilety wykupić. W kolejce stoją. Rysiek co sie po sportowemu ubiera, i Roman i jego kolega co za szofera jest. Wojskowych chiba z pięciu z kapralem jednem i ten w popielatem garniturze, i jeden menszczyzna poważniejszy w miękkim kapeluszu i jeszcze różne inne.

O rany! Gieńka niby nic. W bok sie niby patrzy a Hielkie za rękie ściska.

A przy kasie stoi ten, co go na Marymonckiej spotkała.

Już sie zaczyna. Już grają Tangielite.

Chłopaki od kasy odchodzą. Niektóre to mają swoje panny. Znajome — co na nich czekają. A inni to sobie dopiero szukają.

Żeby który poprosił, żeby który zaprosił. Żeby sie z jakiem ładnem chłopczykiem zaznać.

Już Hielkie jeden upatrzył. Kiwnął na nią głową i zaraz na sale weszli. Wpół ją bierze i tańczą.

Taką w białej bluzce z gieorginją — też jakiś facet zaprasza. Jaki tam kawaler — Boże ty mój. Ale zawsze lepszy niż żaden. A do Sabiny co w czerwonem — wojskowy idzie. Do Lodki aż dwóch podeszło. Jeden w popielatem, a drugi w beżowem. Do tej blondyny — hihi, hi — japoniec idzie. — Gdzie tam japoniec! Chińczyk on jest, co z towarem chodzi.

Gieńkie ten brunecik z Marymonckiej zaprasza. Na czarno jest. Z goździkiem czerwonem.

Już tańczą, już tańczą.

A tu nikt więcej nie prosi — a tyle panien stoi. Oo, jakie te chłopaki są. We dwóch ze sobą tańczą. Jeden za kobiete. Chiba ze trzy pary takie tańczą, — menszczyzna z menszczyzną. No to niech tam, niech tam. Kiedy takie są. Panny prędko do kasy lecą. I na sale. Jedna z drugą tańczy. Niech widzą, jak one potrafią tańczyć. Lepiej niż te panny co je pozapraszali.

Gra „Kazio - Jazz". Tangielite.

Kobiete swoją każdy jeden delikatniuśko obejmuje. Z daleka od siebie trzyma. Różne są sposoby trzymania. Jeden to tak — całą ręką. A inny — to aby ciut palcami. Różnie tańczą. Każdy po swojemu. Ten bez kołnierzyka, co tą w pstrokatej sukience zaprosił — to nic tylko co sie raz okręci to tupnie. Tamten w kapeluszu to znów, — jakieś figury robi. A wszyscy to tylko tańczą i nic nie mówią. Co tu gadać.

Gadają te co stoją naokoło i nie tańczą.

Patrzajcie, patrzajcie!

Ten co z drugiem chłopakiem tańczy — jakby panne wziął. Te grube dwie sie wzieły i też sie kręcą. Paskudnie jest, nieładnie jest, kiedy panna sie do kawalera przygina. Znakiem tego, że sztywno trzymać sie powinna. Hihi, hi — Lodka tańczy z tem swojem facetem. No, z tem co ma taki czubek zafryzowany. To ci dopiero. A tam czekoladziarz. A który? A nasz, ten co na parterze mięszka. Ten z fabryki czekoladowej.

Między jednem a drugiem tańcem — przerwa. Odpoczynek musowy dla orkiestry. Panny sie wachlują. Trochie ze zmęczenia. A trochie i tak — niech widzą, że powodzenie miały, że nie stały.

Jak sie taniec skończy, to zaraz kawaler z panną rozchodzą sie. Każde w swoje strone. Skończone i już. Tylko Sabine jej kapral w rękie całuje. Gieńczyny brunecik też tak za przetańczenie dziękuje.

Spacer po lesie proponuje. W piątek, wieczorową porą widział, jak przez Marymonckie szła. Zapoznać sie dawno chciał. Tyle tylko, że sposobności nie było. Teraz już będzie z nią chodził. Zygmuś mu na imie.

Brunecik — Zygmuś. Garnitur czarny. Lakierki prawie nowe, krawat bordowy ze szpilką.

Lody, słodkie, zimne lody. Woda sodowa, gazowa. Z sokiem malinowem. Pierniki czekoladowe, miętowe. Pestki świeże, najsmaczniejsze. W lasku, w niedziele sie zajada. Chłopiec pannie kupuje.

Więc Gieńka z brunecikiem. Z ładnym chłopczykiem, co go w lasku zapoznała.

Zazdroszczą jej koleżanki. Lodka cała ze złości czerwona — że ten Zygmont z taką miotłą lata.

A tu niezadługo na nowo orkiestra będzie grała.

Najpierw walczyka. A potem poleczkie.

To panny znów przy wejściu na sale, przy kasie bliżej stają — żeby chłopakom więcej na oczach.

Która pójdzie tańczyć, a która sie zostanie i żaden jej nie zaprosi.

Kazimiery chłopak, ten co z nią od Zielonych Świątek chodzi — na sele ją ciągnie. Ale, ale, gdzie tam — kiedy Kazimiera forsy już nie ma za siebie i za faceta płacić.

A inne idą tańczyć. Sportowiec na Hielkie kiwa. A ten rudy już drugi raz Manie prosi. Rysio - blondynek co ma włosy kręcone — na Irkie woła, japoniec na Lodkie, starszy — na Sewere.

Gieńka — to już odrazu ze swojem!

Usia, usia. Poleczka. Prędziusko, prędziuśko w kółko. O rany, o rany, to sie tańczy. Cała sala sie kręci. I w głowie też. Oj, nie mogie. — Te dwa chłopaki co ze sobą tańczą, to tylko już w miejscu skaczą do góry. To ci dopiero, to ci dopiero frajda.

Po tem tańcu duszy sie nie czuje. —

Już nie grają a każda jedna para jeszcze sie kręci.

— Wychodzić ze sali, wychodzić — krzyczy ten od biletów.

To już zaraz będzie koniec tańców. Ciemno się po lesie robi. Na salach tańca światło zaświecają. Naftowe lampki pod sufit uwieszają.

Jeszcze jedno tango pójdzie, a potem znów foks i obereczek. A na zakończenie — marsz.

No to już „Barbarę" grają. Te z orkiestry przyśpiewują.

Brunecik Gieńczyny już ją na salę prowadzi. A tu podchodzi ten starszy, w miękkim kapeluszu, co przedtem do Sewery chemiczarki się czepiał.

O rety — tyż — wódka jedzie, a bucha od niego.

— Zatańczem? — tak on do Gieńki.

Gdzieżby tam. Z żakiem. Bez kołnierzyka, stary, pijaniusieńki.

To on znowu — Zatańczem? — I za rękę ją łapie.

Zygmuś - brunecik, co z Gieńką będzie chodził, za drugą rękie ją bierze.

— Znakiem tego ta pani ze mną już tańczy.

A pijak nic. Tylko potem powiada:

— To z francowatem będzie tańcowała.

Gieńkie aż zamroczyło. Takie pijackie gadanie. A ludzie naokoło tylko hihi, hi. Aż ją zamgliło.

Zygmuś, ładny chłopczyk podskoczył. Już, już się walą. W łeb pięścią i w piersi — gdzie popadnie. W brzuch kopie. Krew tamtemu z nosa leci. I z gardła też. A on go znów. Na śmierć chiba. Któren którego?

Skądciś policjanty. Pijaka już mają. Na ziemi bez czucia leżał. Zygmuś ucieka. Za nim policjant. Z jakie chiba godzine go ganiał. W góre za nim strzelał. Dopiero we dwóch go na łące złapali.

Wieczorową porą, w te same niedziele, Gieńka brunecika znów na Marymonckiej spotkała. Jak go policjant prowadził.

Jan Bajkowski

Lamus i szmelcownia

Co to jest lamus? Lamus to jest taka graciarnia.

Właśnie, że wszystko się mieści w tem słowie „taka". Bo to wcale nie jest jakaś tam sobie zwyczajna zbieranina niepotrzebnych rupieci, że Boże zmiłuj się... To jest taka m i ł a graciarnia, której się trudno pozbyć, a nie można dłużej w domu trzymać, bo to i trochę już nadłamane trochę obdarte z obicia, otarte ze złoceń, objadłe przez mole, stoczone przez czas i robactwo. A że na tem wszystkiem wysiadywały całe pokolenia, wszyscy wstępni i wszystkie linje boczne, dziesiąte i dwudzieste wody po kisielu, gromady rezydentów, całe sąsiedztwo, bliższa i dalsza okolica, wreszcie, co tu dużo mówić, ponieważ były to poprostu rzeczy ładne, bardzo nawet ładne, robione solidnie, nie po partacku, bezdusznie, maszynowo, ale właśnie pieczołowicie, długo, z włożeniem w pracę całej duszy, która potem pozostawała w każdym kształcie, ornamencie, załamaniu, w każdej skrytce ,szparze, — nie dziw, że gdy przyszła np. jakaś „żona modna" i poczęła kapryśnie kręcić zanadto w górę zadartym noskiem na stare, ciężkie, gdańskie szafy, zdobiące pokoje pysznemi ludwikami, to się je brało z prawdziwym, niekłamanym żalem i wynosiło tam, do lamusa. Jakby na wieczne... przechowanie. Kiedy zaś wspaniałe meble wydały się z czasem za bogate jak na kurczącą się fortunę, która na nie szła i szła, kiedy poczęło w salonach zaciekać przez dziurawe dachy, to się je znowu brało na skład, wstawiając skolei na pokoje skromne, jesionowe „biedermayery". I tak powstawały kochane rupieciarnie, niepisane kroniki rodzinne.

Dlatego też słowo „lamus" wymawia się ciepło, tkliwie, a nawet —sentymentalnie. Coprawda, ten niemęski, bezradny sentymentalizm jest już zupełnie niepotrzebny, a nawet irytujący. Bezskuteczny to bowiem przejaw żalu po utraconym lamusie, rozparcelowanym na dziesiątki antykwarjatów.

Czemu przypisać, że słowo „lamus" łączymy tylko ze staremi czasami? Dlaczego po wyniesieniu do niego „biedermayerów", a po wprowadzeniu do wnętrz wygodnych, żelaznych łóżek, bogatych mebli w stylu a raczej tym bezstylu rozpanoszonym od lat ośmdziesiątych, nie wynosi się ich skolei na skład, ale chętnie pozbywa za psi grosz, wyrzuca na szmelc?

Widzieliście kiedy taką szmelcownię? Niczem nie przypomina lamusa. Jest to poprostu miejsce, na które się zwozi zepsute resztki zawalające niepotrzebnie kąty, straszące i w dzień i w nocy swoją brzydotą, takie koszmarne cmentarzysko żartę rdzą, złośliwie kaleczące połamanemi szczątkami sprzętów, które z chwilą stracenia swojej użytkowości, stawały się tylko kłopotem nie do zniesienia.

Szmelcownia winna być otoczona wysokim murem, ażeby jej nikt nie widział, albo przeciwnie, winno się do niej urządzać zbiorowe wycieczki połączone dla przestrogi z krótkiemi prelekcjami. Proponuję np. dyskusję na temat znaczenia pierwiastków racjonalnych i irracjonalnych.

Bo z ideami ma się rzecz zupełnie podobnie. Grzebiąc w takim lamusie odnajdujemy w nim wiele zasad, które jak meble, odnowione pasują świetnie do naszych wnętrz. Przeglądając się w starem zwierciadle zrobionem solidnie, na srebrze widzimy — siebie, podczas gdy w potwornie obrzydliwem „tremie" sprzedanem już nie za psi grosz, ale za złamany szeląg z salonu pani Dulskiej, nie możemy się przejrzeć zupełnie. Albo to jest taka tandeta, albośmy się tak zmienili. I jedno i drugie.

Tymczasem, jak się okazuje, łatwiej się było wyrzec z mieszkania pluszowej kotary o zgniło-zielonym kolorze, aniżeli równie zgniłych i równie zielonych idei. Do tej pory wmawia się wszystkim natrętnie, że to jest model ostatni, a to jest model 1902! Przepraszam, ale nas młodych już się na te rzeczy nie nabierze... Radzimy poprostu, nie czekając, wyrzucić je na szmelc, w sąsiedztwo takiego samochodu na widok którego pękalibyśmy dzisiaj ze śmiechu.

Taka szmelcownia ideowa toby nawet wyglądała wcale ciekawie. Zdziwiłby nas może widok ludzi znęcających się niepotrzebnie nad dawno już wyrzuconemi, wytartemi słowami, które jak im się wydaje, jeszcze do dzisiejszego dnia usiłują przekonywać. Jest to wprawdzie gorliwość zupełnie nieszkodliwa, ale poco tracić czas i przypominać o tem, co wcale nie ozdabia życia? Lepiej byłoby rozejrzeć się uważnie i wziąść się z całą pasją do plenienia tych pokutujących wokół nas zasad, haseł i idei, o których ogół sądzi, że się już znajdują tam, gdzie być powinny, w — szmelcowni.

Bo tak się jakoś złożyło, że stare hasła drzemią w starych sprzętach, zebranych w szacownych lamusach, a te, które towarzyszyły masowej produkcji tandetnej brzydoty, lub przeestetyzowanych, nieestetycznych dziwolągów użytkowych, wraz z niemi wędrują na szmelc. To „jakoś" to my nawet dobrze rozumiemy.

Tak się ma sprawa i z hasłem „sztuka dla sztuki", rzuconem kiedyś z emfazą przepitej nocy, nieuczesanych, długich włosów i nieodłącznej peleryny. Zdaje się nam powszechnie, że znajduje się ono już dzisiaj w otoczeniu tych akcesorjów tam, gdzie być powinno. A tymczasem tak nie jest. Wprawdzie już się tego hasła nie deklamuje, ale się do tej pory nie wyszło z pod jego wpływu. Trudno jest twierdzić oczywiście, że we wszystkich dziedzinach sztuki. Na szczęście nie, stanowczo nie. Co tu dużo mówić — zaczyna się już na wielu polach dziać wcale dobrze. Jeśli będziemy mieli gdzie mieszkać, to napewno będziemy mieszkali sto razy ładniej, aniżeli doniedawna, chociaż przytem sto razy biedniej. Jeśli będziemy mieli w co się ubrać, to również napewno w coś, co będzie sto razy ładniejsze, aniżeli do tej pory, chociaż również przytem sto razy biedniejsze. I tu niema wcale żadnych powodów do smutku, przeciwnie, cieszyć się nam raczej potrzeba. Natomiast są pewne dziedziny, w których hasło „sztuka dla sztuki" panuje niepodzielnie, chociaż się tego nawet gwałtownie wyprze. Myślę w tej chwili o malarstwie. Raz po raz słyszymy odgłosy gwałtownej (może nawet aż za gwałtownej) walki, toczonej przez plastyków. Jedni „przeżywają" ciągle i jedynie kolor, chcąc koniecznie swoje przeżycia narzucić innym. Inni znowu odwalają olejne ilustracje, domagając się, ażeby to czynili wszyscy. Tak się dzisiaj przedstawia główne pole walki, wśród gwaru, której usłyszeć można czasami jeszcze innych, którzy twierdzą, że także „przeżywają". Co? — zapytamy. To, co koniecznie musi, według nich, przeżywać ogół... Do djabła z taką odpowiedzią! Gdy dla wyjaśnienia dodadzą nam, że siebie, ich „ja", odpowiemy szybbo, że nie mamy apetytu i w nogi, jaknajprędzej w nogi! W rezultacie ktoś powie, że jest wogóle zbyt „wiele hałasu o nic" i co najgorsze pójdzie kupić obrazek z gatunku tych, które wśród tego wszystkiego wyrabiają sobie różni producenci, wtykając je ludziom dookoła i bez ustanku. Tychby należało odrazu mocno po łapach, chociaż to sprawa wcale nie łatwa.

Ale tymczasem ten ktoś myli się w swoim sądzie. To jest d o t e j p o r y wprawdzie „w i e l e h a ł a s u i n i c", a nie „w i e l e h a ł a s u o n i c". Nie zniechęcamy się wynikami, bo tu się toczy naprawdę tragiczna walka o wielkość sztuki i intencje są jaknajlepsze, tylko, że nie można tak odrazu dać temu rady. Zdewaluowane hasło „sztuka dla sztuki" uwija się w tem zamieszaniu jak zły agitator, odwodząc od pozytywnych poczynań. Radziłbym zaprzestać walki, by spostrzec nieprzyjaciela. Znajdzie się go napewno we... własnych szeregach. A wtedy z radosnym wrzaskiem odwieziemy go do szmelcowni za darmo, bez żadnej zapłaty. Jeszcze może dorzucimy coś niecoś.

W przeciwnym bowiem razie sami zostaniemy sprzedani na tandetę, sami zobaczymy siebie w roli marniejącego na deszczu i słońcu grata, którego wielki, bezczynny spowodu bezrobocia, piec hutniczy nie przetopi nawet na coś pożyteczniejszego. A my powinniśmy mieć inne ambicje — zasłużenia sobie po długiej, jaknajdłuższej służbie, gdy ustępować będziemy młodszym, na ostrożne, pieczołowite wyniesienie do serdecznych lamusów, które na nowo muszą powstać w miejscach, gdzie dzisiaj wołają o pomstę do nieba szmelcownie. Nie będzie to dla nas degdradacja, ale zwykła kolej losu, która nas potem siłą faktu wyniesie kiedyś spowrotem na światło dzienne starannie odnowionych, pasujących do najówcześniejszych wnętrz, przekazywanych drogą cennego upominku, a nie nabytych już (napewno!) w żydowskich antykwarniach.

W „ABC literacko-artystycznem"
drukowali swe utwory i artykuły m. i. następujący pisarze:

Jerzy Andrzejewski, Władysław Arcimowicz, Jan Bajkowski, Stefan Balicki, Zygmunt Bartkiewicz, Edmund Bartłomiejczyk, Włodzimierz Bartoszewicz, Helena Boguszewska, Emilja Bohowiczowa, Jean La Bretoniére, Zdzisław Broncel, Jan Brzuza, Wincenty Burek, Eugenjusz Byrski, L. Całkosińska, L. F. Celine, Henryk Chmielewski, Ignacy Chrzanowski, J. M. Chudek, Ludwika Ciechanowiecka, Adam Ciesielski, Tadeusz Cieślewski (syn), Stanisław Cywiński, Adam Czartoryski (z Rokosowa), Wawrzyniec Czereśniewski, Tytus Czyżewski, Tadeusz Dzięgielewski, Miłosz Gembarzewski, Bohdan Gębarski, Wiktorja Goryńska, Władysław Jan Grabski, Jan Gralewski, Marjan Grzegorczyk, Piotr Grzegorczyk, Adam Grzymała - Siedlecki, Bohdan Guerquin, Kazimiera Iłłakowiczówna, Karol Irzykowski, Władysław Jabłonowski, Alfred Jesionowski, Aleksander Junosza - Gzowski, Janusz Kawecki, Bronisław Komierowski, Józef Kisielewski, Władysław Konopczyński, Jerzy Kornacki, Kazimierz Kossobudzki, Jerzy Kossowski, Piotr Kownacki, Ignacy Kozielewski, Marja L. Krüger, Bogna Krasnodębska - Gardowska, Tadeusz Kulisiewicz, Jerzy Kuncewicz, D. H. Lawrence, Felicja Lilpopówna, Bolesław Lutomski, Izabella Lutosławska, Jan Maklakiewicz, Kornel Makuszyński, Tomasz Mann, Marjusz Maszyński, Przemysław Mączewski, Klaus Mehnert, Tadeusz Miciński, Bolesław Miciński, Jan Miernowski, Stanisław Miłaszewski, Andrzej Mikułowski, Janusz Minkiewicz, J. N. Miller, Stanisław Nowożeniec, K. M. Morawski, Tadeusz Mostowicz, Axel Munthe, Stef. Napierski, Lech Niemojewski, Stan. Niewiadomski, Roman Niewiadomski, Adolf Nowaczyński, Zygmunt Nowakowski, F. A. Ossendowski, Stanisław Ostoja-Chrostowski, Irena Pannenkowa, Giovanni Papini, Stanisław Piasecki, Antoni Piekarski, Mieczysław Piszczkowski, Wiktor Podoski, Jan Pogorski, Tadeusz Prus-Faszczewski, Zygmunt Raczkowski, Jan Rembieliński, Marjan Reutt, K. H. Roztworowski, Lumir Rubach, Adolf Rudnicki, Andrzej Ruszkowski, Eugenjusz Schummer, Aleksander Sendlikowski, Mieczysław Skrudlik, Florjan Sobieniowski, Konrad Srzednicki, Wincenty Stojek, Jan Szczepkowski, Stanisław Szpotański, Karol Szymanowski, Zdzisław Stahl, Anatol Stern, Stanisław Stroński, Wiesław Strzałkowski, T. B. Syga, Władysław Tarnawski, Marjan Turwid, Milo Urban, Aniela Waldenbergowa, Wojciech Wasiutyński, Jan Waśniewski, Józef Weyssenhoff, D. Weyssenhoffowa, Jan Wiktor, Kazimierz Wiłkomirski, Władysław Wolert, Antoni Wysocki, Wojciech Zaleski, Władysław Zambrzycki, Jan Zamoyski.

Zdzisław Broncel

Na wawelskich pokojach

Północne skrzydło zamku wawelskiego wyziera z za katedry murem krótkim, ale wysokim i spadzistym. Mur jest ciemno czerwony, prawie brunatny, schodzi do zielonego wnętrza, we wzgórzu przebłyskują białe okna kamienia, z zielonej murawy podnoszą się pnące kłącza i wspinają po wyszczerbionych bastjonach. Ze strzelnic w zakończeniu murów wyglądają lufy armat, wyżej — parter i dwa piętra zamku prowadzą się białą ścianą i patrzą rzędem prostych okien w ulicę Podzamczą. Od Podzamcza z jednej strony odchodzi Kanonicza, z drugiej aleja plantów. Tutaj to gdzieś mieszkał Długosz, tu miał widok na Wawel Wyspiański. Patrzył na obronne mury, na szkarpy, na wykusze wież i wyglądało mu to wszystko na polską Troję.



Sala poselska „Pod głowami", II p., skrzydło wschodnie. Na ścianach arrasy wawelskie.

To nawet dobrze, że nie pamięta się w tej chwili, gdzie naprawdę stoi dom Długosza i gdzie naprawdę mieszkał Wyspiański. Można sobie wybierać. Można sobie upatrzyć, że właśnie w tym narożniku, w przewiewie idącym od Wisły, uchyliwszy okna z drobnemi szybkami, sędziwy kanonik krakowski pisał swoją historję, wsławiał imiona Jagiellonów.

W naszem wyobrażeniu — niech okna Długosza patrzą na Kurzą Stopkę, na krawędź, gdzie zaczyna się skrzydło wschodnie zamku, i gdzie otwierała się perspektywa na kościołek św. Idziego, fundacji Władysława Hermana, a dalej — na całe miastoi stu kościołów, na Kraków.

Skrzydło wschodnie, w swych krużgankach, kondygnacjach, amfiladach pokoji i sal stanowi właściwy zamek renesansowy. Wsparte na starych sklepieniach Kazimierza Wielkiego, Jadwigi i Jagiełły, urasta lekkością arkad, w stropach mieszczą jeszcze gotycką surowość ze szlachetnem bogactwem renesansu — ale na zewnątrz szerokim pasem muru zwraca się ku miastu, wygląda spokojnie i dostojnie. Niezwykle wygląda Wawel od strony Kurzej Stopki, przy zbiegu skrzydła północnego i wschodniego, majestatycznie zaś i groźnie od strony wysokiego muru przy Podzamczu, szerokiego wejścia schodów i pomnika Kościuszki.



„Skarbiec" w sali Kazimierza Wielkiego, parter, narożnik północny skrzydła wschodniego.

Tu króluje barokowa zegarowa wieża katedry, a za nią prosta, romańska wieża Wikaryjska. Na południe idą bastjony — a w dole Wisła. Mętna, leniwa, kręta, tu i owdzie naznaczona żaglem kajaka. Zachód — to droga dla aut i oddzielnie stojące na rogach wzgórza wawelskiego wielkie, stare wieżyska. W tej zachodniej stronie widać żółtawo-białe ściany kościoła na Skałce i wysokie ceglaste dachy starych ostrołukowych kościołów Bożego Ciała i św. Katarzyny. U stóp Wawelu na brudnej łączce leżą z betami rodziny żydowskie i spacerują krowy. Dalej — znów zakręt Wisły.

Powinnaby na tę żydowską część ramy, obejmującej Wawel, zwrócić uwagę komisja urbanistyczna Komitetu Wawelskiego Wawel bowiem znajduje się pod opieką specjalnego Komitetu, na którego czele znajdują się przedstawiciele Min. W. R. i O. P. oraz Min. Spr. Wewnętrznych, a który składa się z licznych fachowców i podzielony jest na szereg komisyj.

Jest więc komisja urbanistyczna, dbająca o otoczenie Zamku i sharmonizowanie z wyglądem Wawelu przyległych ulic. Jest komisja konserwatorska, jest komisja artystyczna wnętrz, komisja zakupów i t. d. Biuro odnowienia Wawelu przygotowuje projekty, przesyła je na komisje, tam zaś po przedyskutowaniu zostają one przyjęte lub odrzucone. Pełny Komitet daje tylko ogólne wytyczne dla prac renowatorskich.

W r. b. budżet wawelski wynosi 100.000 zł. Jest to tyle, co i nic, jak mówią wawelscy inżynierzy. Powszechnie sądzi się, że dochód z biletów wstępu wpływa do kasy wawelskiej. Tymczasem tak nie jest, — opłaty za zwiedzanie stanowią wpływy administracji siedzib Prezydenta.

A zwiedzający płyną tłumnie. Przez znane w całej Polsce rozległe schody, wzdłuż muru, wyłożonego pamiątkowemi cegiełkami ofiarodawców idą wycieczki, wędrują i chłopi, i inteligenckie rodziny, które po drodze zawadziły o Kraków. Kto jest w Krakowie, nie ominie Wawelu.

Przeszedłszy około katedry, skręciwszy na lewo, obok złotej kopuły kaplicy zygmuntowskiej, gdzie na każdą łuskę zużyto 10 złotych dukatów, wchodzi się do podłużnej bramy, a przez nią na dziedziniec. W prawym rogu, na końcu skrzydła wschodniego otwierają się drzwi na pokoje zamkowe.

— Ileż ich jest?

— Musiałbym chyba liczyć od początku — odpowiada inż. Polkowski z biura odbudowy. Na samem pierwszem piętrze będzie chyba trzydzieści. Odnowiono je w r. 1929. Obecnie w stronę północną ciągną się apartamenty Prezydenta, a w południową prezydentowej. Odnowiony jest również parter skrzydła wschodniego, będący najstarszą częścią zamku. Ukończono także drugie piętro i obecnie staramy się odbudować skrzydło północne. Sięga ono od narożnika z Kurzą Stopką i basztą do szerokich schodów na początku skrzydła. Dotychczas odnowiliśmy dolne sale, w których rozgościły się niedawne wystawy, urządzone na Wawelu. Dla publiczności nie mogliśmy ich udostępnić, bo jeszcze nie mamy mebli.

— Czy sale są urządzane dawnemi meblami wawelskiemi?

— Takie przedmioty są rzadkością. Ogromnie trudno je dostać i istotnie sprawdzić, czy pochodzą z Wawelu. Staramy się o meble zabytkowe zgodne z epoką, z jakiej dana sala pochodzi. Wyszukujemy je i skupujemy, otrzymujemy dary prywatne, przytem jest charakterystyczne, że ofiarowują je przeważnie ludzie średnio - zamożni lub nawet biedni. Dla przeciętnej rodziny ziemiańskiej czy inteligenckiej złożenie w darze jakiegoś przedmiotu muzealnego, zwykle wysokiej wartości, jest właśnie poważnym uszczerbkiem. Gdyby to sprzedali, mogliby otrzymać do kilku tysięcy złotych. Jednak poświęcają często jedyną pamiątkę dla wzbogacenia Wawelu.

— Ofiarodawcami muszą być przecież i polskie magnackie rody o historycznych nazwiskach? Mają nieraz istne skarby.



Sala Jadwigi i Jagiełły, parter w pawilonie gotyckim. W gablocie szczerbiec, nad nim chorągiew koronacyjna Zygmunta Augusta.

— Tak, ale trzymają je pod korcem. Na wystawie Sobieskiego okazało się, że bardzo cenne zbroje, rzędy końskie, buławy od lat leżały w skrzyniach i dopiero teraz wyciągnięto je na światło dzienne. Rozumiem, że ród chciałby zachować u siebie pamiątki związane z jego świetnością, tylko wtedy obowiązkiem jest otworzyć do nich dostęp dla ludzi nauki i dla publiczności. Należy składać je w muzeach rodowych lub iść śladem drobnych ofiarodawców i oddawać je narodowi. Na Wawel.

— Czy wiadomo dokladnie z jakich czasów pochodzą poszczególne pokoje i jakie było ich przeznaczenie?

— Przeważnie wiemy dokładnie o zmianach na Wawelu. Przeznaczenie pokojów dość trudne, bo zmieniało się niemal za każdą zmianą panującego, albo i częściej, niektóre miały użytek tradycyjny, ale są nieliczne. Zresztą nawet i takie miały różne losy: np. we wspaniałej sali poselskiej urządzono sypialnię małżeńską Zygmunta Augusta. Historję sal próbujemy odczytać z inwentarza: Gdzieniegdzie zaznaczono krótko do czego pokój służył, np.: szatnia, sień, albo jadalnia dworska. Sale parterowe były w czasach zygmuntowskich mieszkaniami dworskiemi, pokoje królewskie zaczynały się dopiero na piętrach. Wawel w obecnym stanie jest zamkiem renesansowym, więc też teraz znajdujemy potrosze odbicie stosunków z późnej doby Jagiellońskiej.

— A czy właśnie teraz przy odbudowie Wawelu zachowuje się dawny charakter sal?

— Ile tylko zdołamy. Tam, gdzie nie mamy tej możności, albo gdzie sale nie są bardzo charakterystyczne, nadajemy im nowe przeznaczenie. Tak np. na parterze chcemy założyć zbrojownię, a nowe sale północne poświęcić pewnym grupom muzealnym. W dużej kolumnowej sali skrzydła północnego będzie urządzone jakby sanktuarjum jazdy polskiej, inną, poświęconą artylerji, zaopiekuje się polski korpus artyleryjski.

Wśród tej rozmowy — aniśmy się spostrzegli, jak odźwierny założył i związał na kostce tradycyjne pantofle.

O, doprawdy, nie zdoła się spamiętać liczby wawelskich pokoji, wawelskich sal, kurytarzy, przejść, drobnych, tajemniczych pokoików, wysokich gotyckich izb, ogarniających zimnem kamienia, jasnych rozległych komnat zygmuntowskich, pełnych światła, blasku posadzek i wspaniałości rzeźbionych stropów. Z drzwi do drzwi, ze schodów na schody, z przejścia w przejście— nie sposób powiedzieć, na jakiem piętrze jesteśmy. Można tylko podejść do okna, spojrzeć na szeroką perspektywę miasta i według tego powiedzieć, czy przecinamy amfilady skrzydła wschodniego czy północnego. Południowe nie wchodzi w rachubę, złożone z samych krużganków.

Na parterze wbijają się w pamięć dwa miejsca najszacowniejsze. Chłodne i białe szarą białością kamiennej ściany. Oto sala Kazimierza Wielkiego. Na murze wyziera fragment jakiegoś gotyckiego malowidła — czerwona, ostro rysowana litera wygląda na majuskułę królewską. Pod jej opieką, pod opieką imienia króla-budowniczego dźwiga się łukowy strop, dziś kamienny, dawniej drewniany, którego żebra zbiegają się ku jednej, jedynej kolumnie, wciosanej w środek izby i trzymającej na swym szerokim pniu strop i dwa piętra zamkowe.

Obok, w sali Jadwigi i Jagiełły, jest jakby sanktuarjum insygniów koronnych. Na środku, w szklanej gablocie opartej na dwóch słupach leży miecz koronacyjny. Klinga szeroka, z rękojeścią o rysunku romańskim, z prymitywnemi obrazami świętych, wyrytemi w metalu. Jest to Szczerbiec, którego tradycja sięga Bolesława Chrobrego, a którym na Wawelu koronował się Władysław Łokietek. Nad Szczerbcem wisi chorągiew koronacyjna Zygmunta Augusta.

Światło wpada przez wąskie okno umieszczone w niszy grubego muru. Pod ścianą stoi drewniana ława z oparciem z piętnastego wieku.

Obie te sale zachowały się dzięki temu, że w 16 i 17 w. był tu skarbiec koronny, później składy zamkowe, a Austryjacy poprostu urządzili w nich śmietnik. Kiedy zaczęto odnawiać Wawel, były one zapchane popiołem i odpadkami. To nędzne przeznaczenie zdecydowało o ich nienaruszeniu.



Sala półsklepiona przy sypialni Zygmunta Starego na I p. w skrzydle wschodniem, obecnie apartamenty Prezydenta.

W podnóżu baszty Batorego przechowują bogaty ongiś chyba purpurowy płaszcz orderu Ducha św. ofiarowany Sobieskiemu przez króla francuskiego. Ciemny, wyszywany srebrem i złotem w rozwichrzone języki ognia. Kołpak i miecz do płaszcza ofiarował papież Innocenty XI.

Na piętro prowadzą czarne marmurowe schody. Z lewej strony wchodzi się do apartamentów Prezydenta, a z prawej— jego żony. Są to dawne pokoje Zygmunta Starego. Ciekawy jest pierwszy z nich — właściwie sień, gdyż wszystkie mające drzwi na krużganek stanowiły przedsionki — w którym pół sklepienia jest drewniane, a pół kamienne. Po pożarze w 16 w. nie odbudowano belkowań stropu i zastąpiono je w zniszczonej części sufitem kamiennym.

W salach, zajmowanych przez Prezydenta w czasie jego pobytu w Krakowie, mieściła się m. in. w 16 w. jadalnia dworu. Na rzeźbionych portalach drzwi widnieją łacińskie maksymy, w rodzaju „nichil" (tak—przez „ch") sine causa", „Velis quod possis". W końcu pierwszego piętra dochodzi się do osobliwego pokoiku Kurzej Stopki. Miał on być podobno ulubionem miejscem Zygm. Augusta i Barbary.

Szyszko - Bohusz przypuszcza, że w XV w. zbudowano basztę obronną, wysuniętą nad Rudawę i strzegącą zamku od strony miasta. Kiedy w w. XVI spolszczone miasto przestało być groźne, w połączeniu wieży z masywem zamkowych murów urządzono sale i w ten sposób powstała Kurza Stopka.



„Alhemja" na I p. w narożniku północnym skrzydła wschodniego — obecnie apartamenty Prezydenta.

Dziś w Kurzej Stopce mieści się gabinet Prezydenta z arcyciekawym stołem. Blat podzielony jest na pola, kwadrat każdego pola można wyjąć i wtedy widać w środku wyrzeźbiony widok włoskiego miasta.

Nie spamiętać, jaką drogą, stamtąd przechodzimy przez wyniosłe pokoje północne, jak zawracamy, jak mijamy gabinet Władysława IV w baszcie Zygmunta Wazy i oglądamy szachy króla. Dość, że byliśmy w niskiej, sklepionej sali — alchemji.

Tutaj Zygmunt III robił swoje doświadczenia z dziwakiem, uczonym i szarlatanem Sędziwojem, tu Twardowski wywoływał ducha Barbary i ustawiał przed Zygmuntem Augustem czarnoksięskie zwierciadła. Podanie wskazuje nawet drogę, którą wchodził duch królowej i drzwi, jakiemi się zjawiał.

Wawel ma swoje niezwykłości i okropności. Jest np. sala pod Ptakami, gdzie ze stropu miały na drutach i sznurach wisieć wypchane maszkary; jest sala głów, umieszczonych w każdym kasetonie belkowanego sufitu. Pokazują ją jako najwspanialszą na Wawelu salę poselską, w której król przyjmował zagraniczne legacje, zapraszające polskich królewiczów na obce trony. Tymczasem tu dworska intryga wstawiła łoże małżeńskie Zygmunta Augusta i jego trzeciej żony. Chodziło o to, ażeby ostatni z Jagiellonów zszedł ze świata bezpotomny. Usiłowano więc królowi zbrzydzić żonę. Wiedząc, że cierpiała na epilepsję, przygotowano sypialnię w największej sali — zupełnie pustej. Na środku umieszczono łoże. Okna i ściany zasłonięte były arrasami, wśród zupełnej ciemności migotliwe, tajemnicze światło padało z wiszących pod sufitem Meluzyn. Dziwaczne głowy spoglądały ze stropu prosto w oczy królewskiej małżonki. W nocy królowa dostała ataku...

Może to i plotka historyczna, ale pewne, że historja Wawelu ma swoje ukryte sprawy, ukryte tragedje, dramaty i walki. Nie zawsze możemy ich dociec, ale przynajmniej odzyskujemy ich widownię, ich dziejowe teatrum.

Tak nap. sypialnia Władysława IV położona jest obok kaplicy. Przylega do niej ścianą, a w ścianie było okienko, przez które król w późniejszych latach nadmiernie otyły i chorowity, nie wstając z łóżka, pilnie słuchał Mszy św.

Dziś sypialnia jest muzealnym pokojem, a w kaplicy w szkatułce leżą narodowe relikwje ze szczątków Stanisława Leszczyńskiego.